Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek o drugiéj po południu.

ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Środa 3 Stycznia | Nr 22. | 1838 Roku.

INDYANIE W WASYNGTONIE.

W Wasyngtonie znajduje się obecnie nie mniéj jak 150 naczelników, wojowników i proroków indyjskich, których dziwaczny strój i dzika postać wojenna równie zwraca na siebie uwagę, jak i ważne poselstwo, z którém od swoich plemion są wysłani. W obrębie Stanów Zjednoczonych liczą 400,000 do 410,000 piérwotnéj, indyjskiéj ludności; są to w ogóle same dzikie i wojenne plemiona; żyją z myśliwstwa i rybołowu, czczą *Wielkiego ducha*, a niektóre z nich prowadzą ustawiczną ze sobą wojnę. Nié mają żadnego wyobrażenia o posiadaniu osobistéj własności, wszelako każdy szczep, czyli plemię, wyprowadza z najodleglejszéj starożytności swoje prawo do niektórych okolic, gdzie ich krewni i powinowaci pospołu z niémi polują i szałasze swoje czyli *wigwamy*, przenoszą z jednego miéjsca na drugie, w miarę im więcéj lub mniéj jest zwiérząt, których mięsem się żywią, a skórami odziéwają. Zamiar sprzedania kilku stepów, w których polują, sprowadził ich do Wasyngtonu. Za bogatą i żyzną ziemię tak wielką, jak niejedno européjskie królestwo, słowem, za kraj wartający tysiące milionów, żądali Indyanie nie więcéj jak tylko 1,600,000 dolarów; ale rząd nad milion nie daje. Inne plemiona z podobnémże poselstwem przybyły z dalekiego Zachodu, a ugoda kupna, krórą Stany Zjednoczone z témi dziećmi natury zawrą, będzie zapewne kupiecko-ojcowska. Wyjąwszy małą liczbę z plemienia, nazwanego Seneka-Indyan w państwie Nowego Jorku, Kreków georgijskich i zostających ciągle w dzikim stanie Seminolów Florydy, nié masz już obecnie żadnych plemion indyjskich na zachodniéj strony Ohio. Wszystkie uszły

w okolice dalekie; zniknęły przed rozszérzającą się cywilizacyą. Jednakże są one dla nas bardzo ciekawym rodzajem ludzkim, którego występki wynikają po większéj części ze zgubnego dla nich zetknienia się z Białymi. Biali bowiém zaszczepili przedawaniem mocnych napojów w plemiona indyjskie wszystkie złe skutki, pochodzące z pijaństwa, owego gniazda grzéchu, w takim stopniu, jaki pomiędzy chrześcianami nie jest znany. Między gośćmi, przybyłemi obecnie do Wasyngtonu, znajduje się także deputacya tak zwanych lisich i workowych Indyan. Nigdy jeszcze nie było dzikszego zgromadzenia dzikich ludzi śród ucywilizowanych; jest ich w ogóle obojéj płci około pięćdziesiąt, a gdy ich naczelnik, prawie zupełnie nagi, po ulicach się przechadzał, lazła obok niego żona jego, dźwigając w worku na dostojnym grzbiecie swoje papuży (t. j: dzieci.) Naczelnik dla większéj okazałości, potęgi i znaczenia swojéj osoby, miał głowę ozdobioną dwoma rogami. Biodra miał osłonięte kawałem szmaty, a na żylastym grzbiecie jego widać było dwie ogromne, białym kolorem odmalowane ręce człowiecze. Wszyscy mieli głowy golone, a na samym środku czaszki znajdował się ozdobiony piórami i skórą z wężów przeplatany kosmyk włosów. Wszyscy mężczyźni mieli srogie, gniéwne wéjrzenie i straszną broń barbarzyńską. Gdy śpiewając swoje wojenne pieśni przechodzili po ulicach, Murzyni, zamiészkali w mieście, kryli się z przestrachem po domach swoich panów. Jakoż w saméj rzeczy byłto widok, na któryby najmocniéjsze wzdrygnęły się nerwy. Horda ta przybywszy blizko hotelu *Gadsby*, spotkała oddział Siouxów, którzy do powitania jéj w tém miéjscu się uszykowali. Siouxowie ubrani byli w spłowiałe płaszcze wojskowe i mieli na nogach *mokassyny*, w które Poinsett, wojenny sekretarz państwa, ozuć ich kazał. Gdy się lisi i workowi Indyanie zbliżyli, chcieli ich Siouxowie pozdrowić, ale nowi przybysze, przechodząc z dumą koło nich, poglądali w milczeniu na obcy strój nabyty od Ameryki ucywilizowanéj w zamian dawnéj niepodległości szyderskiém wéjrzeniem. Widać było istotnie, iż Siouxowie

czuli w sercu całą gorycz tego przyjęcia i dla tego milczeli pochyleni. Indyanie odwiédzili pod wieczór teatr. Przedstawiano sztukę » Głębokie morze. « Gdy panna Nelson wystąpiła na scenę, dzicy zdawali się być zdziwieni jéj pięknością. Jeden Indyanin z Jowy powstawszy, rzucił śród okrzyków radosnych piérzasty swój strój z głowy na scenę, a tłumacz wyraził, iż to oznaczało złożenie hołdu dla piękności. Panna Nelson podjęła z wdzięcznością ten podarunek. Zachwycający śpiéw téj dziewczyny sprowadził na scenę drugi podarunek od innego Indyanina z Jowy; ale gdy piękna panna Nelson, ułożywszy z darowanych piór skrzydła i przymocowawszy je do swoich ramion, pojawiła się znowu na scenie, wtedy zapał ich nie znał już granic, lubo Siouxowie, ich przeciwnicy, oziębłe i z pogardą na to poglądali. Trzeci naczelnik z Jowy przyszedł na scenę i złożył u nóg panny Nelson swoję okazałą suknię z skóry bawoléj z tém krótkiém oświadczeniem, które tłumacz w ten sposób przełożył: «Składam to na dowód mojego ukontentowania, żem widział piękność z Wasyngtonu.» Gdy téj saméj chwili drudzy Indyanie zaczęli zrucać z siebie swoję odzież i ozdoby z głowy; panna Nelson skinąwszy ręką w najdziwniéjszy sposób rzekła: » Żałuję mocno, że się nié mogę wyrazić w waszym języku macierzyńskim; ale tak wysoko was cenię, jak cenię synów mego własnego króla. « Poczém dała każdemu z swych wielbicieli indyjskich białe pioro strusie, którém oni groźne swe czoła ozdobili. Zaledwo tłumacz objaśnił im wyrazy panny Nelson, natychmiast powstali wszyscy Indyanie, razem z damami i paniami we wszystkich lożach, i tak huczne dały się słyszeć oklaski, że aż mury teatru zadrżały; atoli całą tę wrzawę zagłuszył donośny okrzyk wojenny tych dzikich synów puszczy. Teraz dopiéro zaczęła gradem lecieć na scenę odzież ze skór bawolich i złuski wężów, grzechotki, pióropusze, maczugi, mohasyny, nasiekacze (1) i wampuný, tak dalece, iż Indyanie z próżnéj grzeczności dla jednéj ładnéj dziewczyny, omal nie stanęli w kostiumie, w którym się ojciec Adam przed upadkiem znajdował. Szczęściem dla dam, że pan-

(1) Ostre narzędzia, któremi narzynają ciało swoje w różne figury.

na Nelson, stosownie do swojéj roli, właśnie podtenczas jechała w niebo. Na obłokach wznosiła się w górę i śród najchuczniéjszych okrzyków jakich nigdy nie słyszano w teatrze, utonęła w firmamencie teatralnym. Od tego czasu wyprawiają ci dzicy goście przed tysiącem miészkańców Wasyngtonu i cudziemców codziéńnie swoje tańce wojenne, a odgłos ich pieśni i okropne wrzaski, rozlégają się po lasach i polach.

SYSTEM PRZEMYTNICZY W CZASIE ZAMKNIĘCIA STAŁEGO LĄDU.

Przez Leona Gozlan.

Ci, którzy teraz nasze portowe miasta zwiédzają i panującém tamże czynném i pełném ruchu życiem, słusznie są zdziwieni, zaledwo wyobraziéby sobie mogli, jak tam w czasie naszych wojen z Anglią smutno wyglądało. Ponura cisza zalégała wtedy owe miéjsca, gdzie dawniéj gwar i zgiełk zamiészkiwały; wszelki handel usnął, nie słychać tam było ani wesołych piosnek, ani okrzyków radości przy zawijaniu lub odbijaniu ożrętów, a na placu wylądowywania nadaremnie szukało oko owych piramidalnie napiętrowanych ładunków kawy, rumu, tytoniu lub innych osadniczych towarów, niegdyś z miast tych na wszystkie strony Francyi rozsyłanych. Kilku tylko starych marynarzy, tak skaliczałych i tak do służby niezdatnych, jak ich okręty, ożywiało tę smutną scenę; a to politowania godne położenie, byliśmy winni zamknięciu stałego lądu.

Zamknięcie stałego lądu! Nie jestżeto jeden z owych okropnych, olbrzymich pomysłów, który tylko w głowie Napoleona mógł powstać i jedynie wolą i pomocą całego narodu, mógł być wykonanym? Ażeby Napoleon ostał się i nie upadł, potęgę Anglii złamać należało. Nietykalną i położeniem swojém od wszelkiego napadu zabezpieczoną była wyspa Brytonów. Potrzeba kazała wyszukać jakieś miéjsce, zkądby śmiertelnym ciosem ugodzoną być mogła, a jeniusz Napoleona wynalazł wkrótce pewny, niezawodny środek upokorzenia dumnéj Anglii: chciał on, dla odjęcia jéj najlepszych sił żywotnych, przeciąć jéj wszystkie punkty stykania się z innymi krajami; cały ląd stały—

tak uchwalił Napoleon — miał okręty angielskie, jak gdyby one zapowietrzonymi były, odtrącić od siebie; dla nich każdy brzég miał stać się działobitnią, każda skała Gibraltarem, każde miasto twiérdzą, a każdy port przepaścią.

Lecz któż przeszkodził, acz mimo chęci, wykonaniu tego wielkiego, przez Napoleona wymyślonego planu? Jeden tylko człowiek mógł to uczynić, a tym człowiekiem był—sam Napoleon. On utworzył zamknięcie stałego lądu i onto stał się twórcą przemytnictwa na lądzie stałym. W oczach jego zaprowadzano kontrabandę do Francyi, tu wprost, za pomocą śmiałego, przemytniczego okrętu, tam zaś przez manowce, kołując morzami do Lewantu, a ztamtąd lądem przez Solonikę, Brody, Wiédeń i Ren do Paryża. Niech dzieje z onego czasu więcéj o tém powiedzą, a my zaczniemy powieść naszę:

W porcie kanału *la Manche*, który, jak inne porty był również tą nagłą ciszą handlową dotknięty, stał zabrany przez Francuzów duży okręt angielski. Pozbawiony wszelkich lin i masztów, był podobny do niekształtnéj masy drzewa, spoczywającéj nieruchomie, jak dom jaki, na zielonéj, stojącéj wodzie. Któżby w tym pokaléczonym okręcie rozpoznał teraz owego strasznego *Alcyona*, który handlowi francuzkiemu tyle szkody zrządził, a towarzystwu zabezpieczającemu okręty, tyle bezsennych nocy sprawił. Liczba statków, wypłynionych z portu *la Manche*, a przez *Alcyona* wziętych, wynosiła dwieście do trzystu; żeglarze nasi unikali wszelkich z nim utarczek, stronili od niego ile możności, a nawet najśmielsi lękali się, gdy im przyszło koniecznie, mimo wszelkich uniknień, z tą potworą się spotkać! Jeden tylko stary, francuzki korsarz, imieniem Scypio, w chwili gniéwu, który w nim nowe zwycięztwo *Alcyona* do najwyższego stopnia wzburzyło, poprzysiągł tego zuchwałego latawca (*Alcyon*, ptak, zimorodek), co się na widokręgu niespodzianie to pojawiał, to znowu lotem błyskawicy znikał, nie tylko zdobyć, ale nawet jak najdotkliwiéj zhańbić: Zamyślił on go linami do portu wciągnąć, maszty zrąbać i z tak strasznego nieprzyjaciela, kadłub domu zrobić, co według wyobrażeń marynarza, najhanieb-

niéjszém poniżeniem było. Zaiste, za daleko posunął on wzgardę swoję, ależbo i śmiałość jego po temu była. Scypio uderzył na *Alcyona*, zdobył go, przyciągnął do portu linami, ściął maszty, powlékł go wapnem i tak dalece zmienił, że trudno było rozpoznać, czém był dawniéj, chociaż i do domu wcale podobnym nie był. Scypio tryumfował; okaléczył *Alcyona* i, według swego rozumienia, zniżył go aż do lichego domostwa. Nikt zawziętszą i ognistszą nienawiścią przeciw Anglikom nie oddychał, jak Scypio; na samo ich wspomnienie zgrzytał zębami i ściskał pięść ze złości, jak gdyby całemu narodowi zniszczeniem zagrażał. Znałem go, tego namiętnego korsarza. Ojca zabili mu Anglicy a jego samego zraniwszy, zawlekli do Portsmouth, gdzie czas długi w więzieniu głód i nędzę ciérpiał. Słysząc go opowiadającego, jak on z towarzyszami swoimi przy zdobyciu *Alcyona* majtków angielskich w pień wycinał, nié można mu było nie przyznać, iż jego gniéw i uniesienie miały w sobie w saméj istocie cóś zdumiéwającego. Scypio i kilkunastu inwalidów, którzy dawniéj tém samém, co i on trudnili się rzemiosłem, usunęli się poźniéj na pokład *Alcyona*. Co dzień można tam ich było z obu brzegów widzieć, jak z fajką w ustach przechadzali się po pokładzie swojego tak zwanego domu, lub jak na wszystkie strony widokręgu, swoje dalowidy wymierzali dla dojrzenia żagla, azali ich brat korsarz, powracając z wyprawy, jakiéj zdobyczy do portu nie prowadził.

»Jestżeto do pojęcia,« rzekł stary Scypio do towarzyszy swoich, »że miasto nasze teraz nawet, jak w czasie pokoju, zaopatrzone jest kawą, cukrem, tytoniem, lnianemi i bawełnianemi towarami, chociaż tu od kilku tygodni żaden przyjacielski okręt nie zarzucił kotwicy?«

»To ztąd pochodzi,« odpowiedziano mu, »że pojedyncza chciwość, poświęca dobro kraju swym widokom; nie wiészli o tém przyjacielu Scypionie, że co noc, prawie w oczach naszych, mimo szabel celników i karabinów straży nadbrzeżnéj, znaczne zapasy towarów angielskich na ląd nasz wyładowują?«

»Tak, tak przyjaciele,« dodał trzeci, »blokada u nas jest tylko na pozór; niéma już cnot obywa-

telskich. Kramarzom naszym oto tylko chodzi, aby beczki swoje cukrem z Jamajki i kawą z wyspy Bourbon napełnić mogli; oniby gotowi nawet klucze od zbrojowni naszéj wydać za łokieć angielskiego muszlinu; niéma co mówić, to mi najlepszy sposób dojechania końca Anglikom!«

»Jakkolwiek bądź,« odezwał się znowu Scypio, »lubo za pomocą Anglików na niczém nam nie zbywa, chcemy jednak przysiędze naszéj wiernymi pozostać. Najgorszy tytoń francuzki niezmiernie drogo opłacamy, podczas gdy najlepszy angielski w połowie nam ceny sprzedają. Od dnia dzisiéjszego jednak tylko krajowy tytoń palić będziemy!«

Wszyscy zawołali jednogłośnie: »Precz z angielskim tytoniem!«

»Funt cukru kosztuje 10 fr.,« mówił daléj Scypio, »a przemycony sprzedają po 3 fr.«

»To i cukru nie kupujmy!« zawołali żeglarze.

»I kawy także?«

»I kawy się wyrzékamy. Niech żyje zamknięcie stałego lądu! Dałby Bóg, ażebyśmy przezto Anglików zgubić mogli!«

»Co zaś do kobiét naszych,« rzecze Scypio w ciągu rozmowy, »niech się ubiérają, jak chcą; lecz biada im, gdyby nosić chciały płótna holenderskie, lub muszlin przez Anglików wprowadzony; umieją same prząść i tkać, ale niech się nie ważą wspiérać handel angielski! Gdyby wszyscy Francuzi tak gorliwie, jak my, zajmowali się zamknięciem lądu, wkrótceby Anglicy przepadli.«

Tak ci poczciwi marynarze, łącząc ze ślepotą fanatyzmu fałszywą ekonomiję polityczną, raczéj chcieli się wyrzec wszelkich przyjemności życia, niźli angielskiéj kontrabandzie mieć je do podziękowania. Zdawało się to w rzeczy saméj bardzo widoczną sprzecznością, że choć jeszcze wieczorem nie było w handlu najpotrzebniéjszych towarów osadniczych, nazajutrz z rana już wszystkie sklepy obfitowały w płody zagraniczne, pomimoto, że żaden okręt francuzki do portu nie zawinął. A jednak nie dawno dopiéro ponowiona ustawą pod karą śmierci zakazała handel przemytniczy.

(DALSZY CIĄG NASTĄPI.)

POLOWANIE
NA ALLIGATORA.

Odniósłem, pisze jeden Anglik z Manilli, wielki tryumf; zabiłem alligatora, który od dwóch lat był plagą wsi, bo chwytał woły i konie, a raz nawet pochwycił Indyanina, który rzékę jego przepływał. W Dżala-Ożala (miéjscu mojego pobytu) nigdy jeszcze alligatora nie spolowano, a gospodarz mój żadnego wielkiego w tym gatunku potworu nie widział; łatwo mi więc przyszło namówić go, aby się ze mną na tę wyprawę odważył. Właśnieśmy się dowiedzieli, że alligator pięknego konia udusił i powlókł do małéj rzéczki z drugiéj strony osady. Zaraz udaliśmy się na to miéjsce i zaciągnęliśmy mocną sieć przy ujściu rzéki. Potém wyprawiliśmy Indyan w czółnach, na wystraszenie potworu wielkiémi kijmi z jego kryjówki na dnie wody, i tu się zaczęła walka w jak najlepszym porządku. Zrazu alligator rzucił się ku ujściu rzéki, a znalazłszy je zagrodzoném, popłynął nazad; lecz znowu odstraszony, zwrócił się i chciał ujść lądem. Był już o kilka kroków odemnie, kiedym go piérwszą kulą w przednią łuskę, a wnet dwiema drugiémi w grzbiet i brzuch ugodził. Ztąd odstraszony, udał się w drugą stronę, gdzie go mój towarzysz dwiema kulami przywitał. Tu już rzucił się gwałtownie ku ujściu, przedarł się przez dwie sieci, ale się zaplątał i wtedy zaczęła się walka włoczniami i ognistą bronią. W czasie téj dziwnie zręcznie używał zębów i ogona. Ruchy jego jednakże były nieco utrudnione, gdyż zjadł był całego konia, którego trzy całe jeszcze nogi znaleźliśmy w jego brzuchu; do tego wiele kamiéni, niektóre bardzo ciężkie. Nakoniec, przy pomocy wszystkich ludzi, których tylko zwołać można było, ściągnęliśmy go na brzég i włóczniami i maczugami dobili ostatecznie. Alligator ten miał 20 stóp długości a 11 objętości. Głowa ważyła 275 funtów, cały ważył bez mała 3,000 funtów.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.